

Nazywam się Tomasz Kałwak, udało mi się ukończyć nasze liceum "w regulaminowym czasie", po czterech latach nauki, w 1996r. Z tą "nauką" różnie bywało, ale się udało..., bo nauczyciele w "Curie" zawsze "ludzką twarz" mieli i wyrozumieli byli dla człowieka, który chodził jeszcze do szkoły muzycznej i w tamtym czasie już wiedział, że muzykiem zostanie...

O IV LO usłyszałem już w "podstawówce" i miałem nadzieję, że kiedyś będę jego uczniem, nawet o tym marzyłem, gdyż mój o siedem lat starszy brat Maciek, który był moim pierwszym wielkim idolem, zaczął wtedy do niego uczęszczać. Widziałem, że dużo się działo w tej szkole, że kontakt z nią nie kończył się po ostatnim dzwonku, więc "włóczyłem" się za bratem gdzie tylko się dało...

Miałem to szczęście, że jako "smarkacz" mogłem uczestniczyć w niektórych zajęciach pozalekcyjnych i wielu jednorazowych wydarzeniach - tak poznałem ówczesnego nauczyciela geografii, a obecnego dyrektora I LO w Chorzowie: Przemka Fabiańskiego, ale przede wszystkim Krystiana Barczyka - mojego pierwszego ulubionego nauczyciela w "Curie".

Dzięki Niemu zrozumiałem, że "kultura fizyczna" to nie tylko tężyzna mięśni, ale szeroko rozumiana postawa psychofizyczna człowieka. Dzięki swojej inteligencji i wybitnemu poczuciu humoru bez problemu motywował mnie do uprawiania sportu, a nie była to rzecz łatwa w przypadku dziecka, które cały swój wolny czas spędzało w szkole muzycznej i przy instrumencie...

Pamiętam, jak kiedyś wraz ze swoim kolegą, rówieśnikiem, podczas zajęć SKS-u "rozłożyli" czteroosobową drużynę licealistów - taktyka, spryt i doświadczenie były miażdżące dla znacznie szybciej biegających i ambitnie walczących nastolatków. To była dotkliwa lekcja pokory.

Wspaniałe było też, że po ukończeniu szkoły uczniowie mogli się spotykać, pobiegać i poprzebywać razem. Moja praca mi to teraz uniemożliwia, żałuję bardzo, po pierwsze ze względu na Krystiana, po drugie z powodu tego, że moje marzenie o posiadaniu "kaloryfera" na brzuchu coraz bardziej się oddala w stronę powiększającego się "bojlera"...

Choć kończąc podstawówkę niejako byłem już mentalnie uczniem "Curie" to niestety usłyszałem od kogoś, że ten świadomy wybór był dla mnie koniecznością, gdyż byłem niejako "zbyt kiepski, żeby zdawać egzaminy do Słowaka"...

W tamtych czasach moja próżność i przerost ambicji kiepsko znosiły takie prowokacje, a w zasadzie nie znosiły ich w ogóle... dlatego też niestety "musiałem" zdać do I LO im. J. Słowackiego, bo by mnie wewnętrznie zeżarło...

Tak więc stała się rzecz straszna-moje wymarzone "Curie" oglądałem siedząc w klasie po drugiej stronie ulicy...Jako, że w wieku 15 lat miałem "dość szerokie" mniemanie o sobie, byłem rebeliantem, młodym "artystą", kontestowałem system i chciałem zmieniać świat, popadłem w konflikty z niektórymi nauczycielami i uczniami. Musiałem szybko opuścić "Słowaka".

Jesienią jeszcze tego samego roku "Curie przyjęła mnie pod swoje skrzydła" i stała się moją prawdziwą "Alma Mater". Zostałem "dopisany" do klasy 1C i odtąd, pomimo że mam nazwisko na "K" zawsze, do matury w dzienniku widniałem pod numerem 37.

Wtedy poznałem dobre serce ówczesnej Pani vice dyrektor Marii Hajkowskiej, która ze swoim genialnym, abstrakcyjnym poczuciem humoru zaprowadziła mnie na pierwszą lekcję. Tam poznałem najważniejszą chyba nauczycielkę w swoim życiu: Krystynę Koziółek.

Mógłbym o niej powiedzieć: polonistka, humanistka, wspaniała pedagog, Pani doktor itp...

Choć te wszystkie określenia, razem wzięte, pasują do niej, to i tak nie jestem w stanie opisać kim była dla nas wszystkich, dla wszystkich, którzy mieli z nią kontakt...

Ponoć każdemu z nas zdarza się spotkać w życiu choć jednego nauczyciela, który potrafi nam to życie zmienić na lepsze. Krystyna Koziółek była dla mnie (i z tego co wiem, dla wielu również) kimś

takim. Była dla nas kobiecym odpowiednikiem profesora Johna Keatinga ze "Stowarzyszenia umarłych poetów" Petera Weira!

Teraz, z perspektywy lat, mogę z pełną świadomością powiedzieć, że zajęcia z Nią nie były tylko lekcjami języka polskiego. To były warsztaty z uwrażliwiania i stawania się pełnowartościowym, dojrzałym człowiekiem. Język polski był tylko jednym z narzędzi, których używała, ale nie zawahała się stosować też wszelkich możliwych środków, żeby z nas "zrobić ludzi" -literatury, muzyki, teatru, filmu. Zabierała nas regularnie na festiwale, koncerty, dyskusje, spotkania, nauczyliśmy się komunikować ze sobą analizując z pomocą psychologów filmy Woodego Allena. Innym razem idąc po prostu na spacer do pobliskiego parku...

Uczyła nas zarówno mówienia jak i słuchania, samodzielnego myślenia czy też asymilowania wielkich idei, przy niej można było marzyć i się buntować...

Chyba tylko na Jej zajęciach czułem wstyd, gdy nie byłem przygotowany. Nam wszystkim po prostu "było głupio", że nie mieliśmy o czym dyskutować...

Podobny stan odczuwałem jedynie gdy chciałem spędzić czas w towarzystwie jakiejś interesującej dziewczyny, a nie umiałem "zagadać", albo "gadka się nie kleiła"... :-)

My z kolei widzieliśmy rzadki widok, kiedy nauczycielowi jest autentycznie smutno kiedy musi "karać" nas złą oceną. Zazwyczaj tego nie robiła, bo słowami Dostojewskiego uświadomiła nam, że "jeśli mamy sumienie, ono będzie dla nas katem"...

Pod wpływem tych wszystkich uniesień nawet udało nam napisać i wystawić sztukę teatralną podczas "Tygodnia kulturalnego", którą zwyciężyliśmy w konkursie, ale najistotniejsze, że wtedy widzieliśmy łyż w oczach niektórych nauczycieli, rodziców i uczniów...

Może to trochę wstyd przyznać, ale ja w zasadzie funkcjonowałem w szkole "od Tygodnia kulturalnego do Tygodnia kulturalnego". Uważam, że to było jedno z tych wydarzeń, które budowały niesamowitość naszej szkoły.

Tożsamość szkoły tworzyli oczywiście nauczyciele i wydarzenia, ale przede wszystkim uczniowie do niej uczęszczający. „Ostrzegano” mnie, że "Curie" jako bezpośrednia kontynuacja przedwojennego liceum żeńskiego pełna jest dziewczyn, że "chodzą do niej same baby"... :-) Nie wiem jaka idea towarzyszyła człowiekowi, który mi ją w taki sposób reklamował, ale jeżeli to miała być przestroga to ja ją wziąłem za najwspanialszą rekomendację...

Rzeczywiście, dysproporcja płciowa była zauważalna i odczuwalna...:-)

Chłopców było niewielu i myślę, że to kolejny atut tej szkoły - wspaniałe dziewczyny, w dużej obfitości... można się było nieraz zakochać. Mnie udało się to zrobić tak skutecznie, że z jedną nawet związałem się na długie lata :-)

W "Curie" spotkałem wielu ciekawych ludzi, nie wszystkich pamiętam, niektórych nawet ledwo co, bo pracę mam taką, że oglądam zbyt wiele twarzy, żeby je pamiętać, za co przepraszam z góry. W "Curie" spotkało mnie też wiele miłych rzeczy: byłem nagradzany, chwalony, lubiany... kto tego nie lubi?

Niełatwo mi jest przywoływać z pamięci tamte czasy, bo wiele się od wtedy wydarzyło, upłynęły już prawie dwie dekady. Pamiętam jedynie te najbardziej wyraziste postacie i sytuacje. To trochę taki "chichot historii", że nie wiedzieć czemu, jedni w niej pozostają na zawsze, a inni idą w zapomnienie... Nie inaczej jest ze wspomnianiem nauczycieli i kolegów ze szkolnej ławy...Tytuł było wspaniałych kompozytorów w historii, a świat tylko o tym Mozarcie, Bachu i Beethovenie... :-)

Pozostając jednak przy Historii, to pamiętam też jedną lekcję z Romanem Herrmannem, który uczył tego przedmiotu. Żartował wtedy, że "to ten przez podwójne R i podwójne N" (w czasie kiedy uczył dyrektorem szkoły był Andrzej Herman - plastyk).

Miałem z nim tylko jedną lekcję, zastępstwo, na które przyszedł. Naszła mnie wtedy inna refleksja...

W Polsce mamy profesorów "nadzwyczajnych" i "zwyczajnych". Ponoć wielu z nich jest "nie-nadzwyczajnych", ale ważniejsze dla mnie jest przekonanie, że profesor to raczej tytuł naukowy, a pewien stan świadomości. Olbrzymia wiedza i doświadczenie, połączone z charyzmą, abstrakcją i odrobiną szaleństwa. To właśnie profesorowie mają ten dar, że niekiedy wygłaszając jedną kwestię pozostawiają ją człowiekowi jak motto na resztę życia.

I wtedy się tak stało - nasz obecny dyrektor skomentował żarliwą wypowiedź mojego kolegi, pragnącego za wszelką cenę ustosunkować się w naiwny sposób do jakiegoś bieżącego wydarzenia politycznego, słowami: cytuję (na ile pamiętam): "ponoć św. Tomasz zwykł się modlić do Boga słowami: Panie, spraw abym nie zawsze miał coś do powiedzenia na każdy temat..."

Zapamiętam to na zawsze, gdyż codziennie dedykuję te słowa wielu ludziom, których napotykam w naszym kraju. Podobnymi słowami też się o nich modlę... :-)

Zatem dziękuję prof. Rromannowi Herrmannowi. Choć żałuję, że nie dane mi było doświadczyć więcej...Ten żart w pisowni imienia powinien mi wybaczyć, bo to człowiek światły, a zarazem zdystansowany i z poczuciem humoru :-)

Inne poczucie humoru, miała ś.p. Pani Teresa Kocur, która nie tylko była wspaniałą anglistką, ale też kobietą nad wyraz elegancką, osobą znającą kulturę "Wysp" i w pewien sposób ją uosabiającą. Była dla nas niczym angielska arystokratka, z prawdziwym brytyjskim akcentem, ale na szczęście łączyła polskim ciepłym charakterem. Zabierała nas swoimi opowieściami "w podróż" po całej Anglii, ich obyczajach, kulturze zanim pół Polski wyjechało tam zmywać Wiktoriańskie naczynia...

Tak kończąc to przydługie wspomnienie, po raz kolejny dochodzę do refleksji, że te rankingi szkół i uczelni to całkiem "do bani" są... Te tabelki z "Exel'a" z wynikami, statystyki, ilość laureatów olimpiad, podsumowanie matur itd., itp.

Sam teraz bywam nauczycielem i patrzę na obecnych uczniów, rodziców, nauczycieli, którzy dywagują "na giełdzie" edukacyjnej gdzie lepiej, bardziej renomowanie...

Jak wspomnę sobie tę "Ścianę płaczu" w "Słowaku", w holu głównym, zawierającą listę laureatów olimpiad, przy której ja płakałem, żem za głupi coby się na niej znaleźć... Masakra!

Szkoła to ludzie, od pani/pana z portierni, poprzez uczniów, do dyrektora. Różnie można trafić, raz sprzętaczka może być cudowna, a dyrektor mendą, innym razem koledzy są ok, a Pani z jakiegoś przedmiotu wredna... Kombinacji wiele, a nigdy nie wiesz jak trafisz, ale ja miałem to szczęście, że trafiłem świetnie, mogłem moją szkołę lubić, a nawet czasami kochać i choć można by się tu i ówdzie przyczepić to przecież jak się chce to zawsze można się gdzieś przyczepić... :-)

Ja w każdym razie bardzo się cieszę, że ukończyłem IV LO. Ta szkoła to część mojej historii i jestem dumny, że mogę również być częścią jej historii, jak każdy z jej uczniów, absolwentów, pracowników i sympatyków.

Skoro mnie teraz czytacie, a wręcz dotrwaliście do tego momentu, to naprawdę szczerze dziękuję, że wyróżniliście mnie tak pięknie spośród grona absolwentów. Nie wiem czy na ten zaszczyt zasługuję, bo tak naprawdę to ja jakimś "orłem" nie byłem, tylko zajmowałem się czymś co bardziej widać i słyhać poza murami szkoły, ale pomyślałem, że przyjmę ten honor, bo to po prostu miłe i wspaniała okazja, żeby się trochę na chwilę rozczulić, powspominać, i opowiadając o sobie, zachęcić uczniów do rozwijania pasji i talentów, do uczenia się, nauczycieli do "zarażania" ich tym i wspierania. Ja czegoś takiego doświadczyłem, a teraz mogę robić to co kocham. Nasza "Curie" ma w tym swoją zasługę.